

Marie Jehanne Walewska, hr. Wielopolska

„Ptaki” (1919)

Maria Joanna z Colonna-Walewskich, primo voto Konradowa Wielopolska, secundo voto Jerzowa Strzemię Janowska (1882(?)-1940), debiutowała w 1902 roku na łamach lwowskiego „Przeglądu Politycznego, Społecznego i Literackiego” opowiadaniem Za późno. Jej pierwszym znaczącym utworem był trzyaktowy dramat pt. Sęp, wydany w Brodach w 1904 roku i w tym samym roku wystawiony we lwowskim Teatrze Niezależnym. Choć sztuka nie odniosła zamierzonego sukcesu, o Wielopolskiej stało się głośno, gdyż, jak pisała Herminia Naglerowa, „nawykła Wielopolska do swobodnego manifestowania swoich przekonań. Uchodziło to za bunt i odszczepieństwo w jej środowisku [...], zwłaszcza zaś w arystokratycznych kołach, do których weszła przez pierwsze małżeństwo z Wielopolskim”¹. Wydanie w 1913 roku Kryjaków, opowieści traktującej o wydarzeniach 1863 roku, sprawiło, że autorkę zaczęto uznawać za pisarkę „świadomą swojego rzemiosła”, ale jednocześnie okrzyknięto ją chłopotomanką i socjalistką, „czerwoną” margrabiną, co zamknęło jej wstęp na salony. W latach poprzedzających wybuch wojny Wielopolska związała się z ruchem niepodległościowym, a następnie, już po rozpoczęciu działań wojennych, z I Brygadą Legionów. Te wybory, a także jawne opowiadania się po stronie Piłsudskiego sprawiły, że „wielu z jej rodziny nie przebaczyło jej nigdy tego, co nie było kaprysem, tylko przekonaniem i żarliwą wiarą”². Liczne artykuły i felietony zamieszczane na łamach prasy wywoływały zacięte polemiki, niejednokrotnie kończące się na ławie sądowej. Najzarliwszym przeciwnikiem i polemistą Wielopolskiej był Adolf Nowaczyński – tytuły jego paszkwilanckich artykułów mówią same za siebie, np.: Niezrównana Jehanne, Odprawa damulce czy Popisy Jehanny. Autorka nie pozostawała dłużna, atakowała „wprost, bez osłon, bez podstawień i alegorii, arbitralnie, zuchwale, nie premedytując cięć i uderzeń”³. Po śmierci

¹ H. Naglerowa, *Wspomnienia o pisarzach*, Londyn 1960, s. 67.

² *Ibidem*, s. 69.

³ C. Walewska, *Z cyklu sylwetek. Maria Jehanne Wielopolska*, „Bluszcz” 1924, nr 51-52, s. 954.

Józefa Piłsudskiego Wielopolska przeżyła „okrutne duchowe zmiżdżenie” i, jak pisała w swoich wspomnieniach Hanna Mortkowicz-Olczakowa, „pióro [Wielopolskiej] oddane w zaślepieniu jednej sprawie, jednemu tematowi poczęło tracić wszelkie swe poprzednie zalety – jasność, błyskotliwość, ciętość – stało się ciężkie i brutalne”⁴. Wielopolska odeszła w całkowitym zapomnieniu, świadoma zbliżającej się wojny. W ostatniej rozmowie z Herminią Naglerową zwierzyła się: „Na pewno będzie ta wojna czymś większym i groźniejszym, niż moje dotychczasowe przeżycia. Pięknie byłoby zginąć na wojnie. Zawsze marzyłam o śmierci bez pogrzebu, o śmierci niejawnej”⁵.

Przedrukowywana nowela Ptaki pochodzi ze zbioru Pani El. Cykl nowoczesny (z dedykacją „dziecku błękitnemu”). Cykl powstawał na Riwierze w roku 1910 i, jak określiła to Agnieszka Baranowska, złożyły się na niego „pełne polotu oraz ironii błyskotliwe scenki i dialogi na wieczne tematy damsko-męskie i egzystencjalne, umieszczone – jak to było jeszcze w modzie u modernistów – w kostiumie historycznym”. Głównymi bohaterkami cyklu są natomiast „dandyski, kolorowe ptaki”⁶. Bohaterowie Pani El to żyjący w przerafinowanym świecie rodem z rokokowego malarstwa dandysi, zupełnie świadomie godzący się na dynamiczną wizję tożsamości, będącą w fazie permanentnego rozpadu.

Wydanie zbioru, zawierającego przeważnie nowele drukowane wcześniej w „Krytyce”, w „Myśli Niepodległej” poprzedzone było niezwykle pochlebnym wstępem Andrzeja Niemojewskiego, w którym pisał: „A więc TA, CO NIE PŁACZE, będąc zarazem TA, KTÓRA MYŚLI, staje dziś przed polskim światem czytającym i żąda, aby jej wystuchano”⁷, „spotkało się z krzykliwą nagonką prasy klerykalno-zachowawczej oraz z żądaniem, aby c. k. prokuratoria skonfiskowała książkę”, jako „niszczącą spoleczny ład”⁸. Wbrew oburzeniu i atakom zbioru Pani El zyskał również bardzo przychylne opinie. Cecylia Walewska na łamach „Bluszczu” pisała o „obrazach zwartych, stylu mocnym, jędrnym, takim, jaki miał już zostać”, a Eustachy Czekalski w „Krytyce” porównywał tekst Wielopolskiej do Rówieśnic Zofii Natkowskiej, stwierdzając jednocześnie, że „wśród naszych młodych pisarek wysuwa się pani Walewska swoją kulturą umysłową bezsprzecznie na plan pierwszy”⁹. Cykl Pani El śmia-

⁴ H. Mortkowicz-Olczakowa, *Bunt wspomnień*, Warszawa 1959, s. 269-270.

⁵ H. Naglerowa, *Wspomnienia...*, s. 74.

⁶ D.M. Osiński, *Dandyski tekst o ciele. Przyczynek do teorii cielesności dandyski*, w: *Lektury płci. Polskie (kon)teksty*, red. naukowa M. Dąbrowski, Warszawa 2008, s. 135.

⁷ A. Niemojewski, *Wstęp*, w: M.J. Walewska Hr. Wielopolska, *Pani El. Cykl nowoczesny ze wstępem Andrzeja Niemojewskiego*, Kraków-Warszawa-Lwów 1911, s. 5.

⁸ J. Kądziała, *Maria Jehanne Wielopolska*, Kraków 1973, s. 456.

⁹ E. Czekalski, *Pani Walewska – a może Pani El*, „Krytyka” 1911, t. XXXII, z. 7/8, s. 39.

to można nazwać obok Fauness jednym z najlepszych we wczesnej fazie twórczości Wielopolskiej.

Anna Lewenstam

Bibliografia

Marie Jehanne Walewska Hr. Wielopolska, *Pani El. Cykl nowoczesny ze wstępem Andrzeja Niemojewskiego*, Kraków-Warszawa-Lwów 1911.

Marie Jehanne Wielopolska, *O moich „Faunessach”*, „Nowa Gazeta” 1913, nr 137.

Agnieszka Baranowska, *Perty i potwory. Szkice o literaturze międzywojennej*, Warszawa 1986.

Eustachy Czekalski, *Pani Walewska – a może Pani El*, „Krytyka” 1911, t. XXXII, z. 7-8.

Jerzy Kądziera, *Maria Jehanne Wielopolska*, Kraków 1973.

Lektury ptci. Polskie (kon)teksty, (red.) Mieczysław Dąbrowski, Warszawa 2008.

Herminia Naglerowa, *Wspomnienia o pisarzach*, Londyn 1960.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa, *Bunt wspomnień*, Warszawa 1959.

Cecylia Walewska, *Z cyklu sylwetek. Maria Jehanne Wielopolska*, „Bluszcz” 1924, nr 51-52.

Ptaki

Naszą „egzotyczną Kastę Czcieli wszelkiej Substancjalności” – poruszyła wiadomość, że do małej Yves niesiono rano jedną klatkę ptasią za drugą – wszystkie próżne, przygotowane widocznie dopiero na pierzastych lokatorów.

Skąd małą Yves, znaną wśród nasz naiwności jedynie i niebawalego wprost łakomstwa, napadła nagle ornitologiczna mania, nie mieliśmy pojęcia. To też gromadnie udaliśmy się do niej po informacje.

Słońce prażyło nisko nad morzem, rude, jak pacioreczniki, zwane „*Madame Druz*” – a zupełnie jak liście tychże pacioreczników kładły się smugi miedziane na morze, wąskie, pogmatwane, pismu jakimś nieczytelnemu podobne, które czytały ryby może, a może topielce.

Willa małej Yves tonęła wśród kwiatów, „jadalnych kwiatów” (utrzymywała pani El), „bo mała Yves tylko to uznaje, co jadalne, a jeżeli ludzi uznaje, to też głównie dlatego, że ostatecznie, w razie jakiegoś głodu, można się między ludźmi zjadać nawzajem”.

I rzeczywiście w ogrodzie małej Yves rosły przeważnie ogromne rumianki, biedrzeńce, ślazy, karłowate grusze i pomarańcze, w ogóle wszystko możliwe, co praktyczna botanika daje.

Kiedyśmy weszli, mała Yves ubierała kapelusz.

– O! – rzekła krótko, ujrawszy nas.

– Gdzie idziesz, różowa biedronko? – spytała pani El – a właściwie obojętne, gdzie idziesz, odpowiedz nam tylko, po co ci było kupować te wszystkie klatki ptasie?

I pani El zasiadła wygodnie, jak gdyby żądana „odpowieź” małej Yves miała trwać co najmniej dobie.

Lecz mała Yves nie dała się zbić z tropu i ubierała dalej kapelusz, poemat koronkowy, wbijając weń z jakąś dziecinną niezaradnością szpilki długie jak sztylety, o bardzo pięknych, bizantyjskich główkach. A ponieważ jedna z tych szpilek miała główkę z lapis lazuli, d'Espagnac począł wykladać, że Egipcjanie wyobrażali ten kamień w hieroglifach, jako człowieka, ciągnącego świnie za ogon. Mała Yves sarknęła:

– Znowu chce pan coś wmówić we mnie! Tak jak wówczas, kiedy mi pan powiedział, że te małe, zielone rybki, sprzedawane w porcie, je się tylko surowo. Brrr! Co to była za obrzydliwość te surowe rybki!!

– Nie, kwiatku, który nazwałbym wiśniowym, dla tej przyczyny, że pierwszy... Lukullus sprowadził wiśnie do Europy. Lapis lazuli właśnie człowiek wyobrażał, ciągnący świnie za ogon. Toteż dziwię się, gdy ktoś,

choćby przez szacunek dla archaicznych wyobrażeń i dla symbolów, przypisywanych świni od dawien dawna, nosi na sobie lapis lazuli.

Mała Yves zwróciła ku mnie swe zakłopotane, wielkie, dziecinne oczy, w których zaiste trzykroć tyle było lapis lazuli, co na szpilce i kapeluszu.

– Chodźcie ze mną – rzekła – a pokażę wam, na co mi klatki potrzebne.

Szybko podała nam bombonierkę, jeszcze szybciej uraczyła się sama i wyszliśmy wszyscy gromadą, brnąc w zaułki, w te niesłychanie brudne, włoskie zaułki starej Nizzy¹⁰.

– Gdybym był merem miasta – zauważył d’Espagnac – zrównałbym z ziemią te dzielnice. Każde miasto ma swój charakterystyczny zapach, aby i człowiek, rażony ślepotą, mógł o jego pięknie sądzić. (Dlaczegożby ślepiec miał być absolutnie upośledzony?) A dzielnice te dają Nizzy, najcudniejszemu miastu, tak strasznie mdławy zapach przygrzanej tłustości, że – gdyby mnie wprowadzono z zawiązanymi oczyma, z dworca uciekłbym już, jak uciekam od wszystkiego, co brzydkie.

– ...od swej żony na przykład – wtargnęła pani El.

– Od żony! od żony! a!!!... – melancholijnie podchwycił d’Espagnac.

– Ona była tak brzydka, tak brzydka, że nie mogłem z nią żyć.

– Przecież widział ją pan przed ślubem?

– No tak. Ale, widzi pani, pani El, moja żona należała do tych kobiet o sztucznej, niesamorodnej piękności. Ubrana odpowiednio, uczesana umiejętnie, o linii wystudiowanej, mogła mi się podobać. Gdy po ślubie jednak rusztowanie to opadło, została tylko – brzydka kobieta.

– Dziwna rzecz, ale ja najwięcej cenię kobiety. O niesamorodnej piękności. Widać przecież indywidualizm i szczerą artystkę w tej, która ze swojej twarzy, raczej brzydkiej, potrafi zrobić arcydzieło, czy to za pomocą fryzury, czy doboru barw w sukniach, czy kroju kołnierza, czy „noszenia” głowy.

– I ja też, pani El. Ale niech to *échafaudage*¹¹ trwa, bo jeżeli w jakimkolwiek momencie życia opadnie, słusznie posądzi człowiek dotyczącą kobietę, że nie była artystką, ale kabotyńką, mającą interes upatrzony w stylizowaniu swej piękności, czy brzydoty.

Do tych kabotynek zaliczyłem żonę moją i dlatego odstąpiłem ją owemu tłustemu Belgijczykowi, który się na pięknie tyle zna, co boy od liftu na heksametrach greckich. A mimo to wiecie – spotkałem ją na wystawie w Brukseli i – uderzyła mnie jej piękność. Szła burżuazyjnie pod rękę z owym tłustym Belgijczykiem. Kapelusz miała duży, stylowy, jasny, ze spodem koloru palonego cukru, od czego cudnie odbijały jej wło-

¹⁰ *Nizza*: włoska nazwa Nicei (fr. *Nice*) (przyp. red.).

¹¹ *Échafaudage*: fr. rusztowanie (przyp. red.).

sy, o cień bledsze. Spod tego kapelusza spojrzwały na mnie jej małe, wąskie oczy i uśmiechnęły się jej usta, nazbyt wypukłe, prawie złączone z nosem – przypominając mi żywo sfinksy, które strażowały ongiś przed świątyniami w Tebach. Naprawdę była ładna! Toteż zaraz zadałem sobie pytanie, po co ją odstąpiłem temu tłustemu Belgijczykowi, z którym połączyła się sakramentem na dobre.

– Nie miałe racji ów, który rzekł, że żona, aby się podobała, musi być: ładna, słodka, miła, mądra i... cudza?!

– Tak – z przekonaniem potwierdził d’Espagnac, ale urwali rozmowę i zaczęli słuchać opowiadania małej Yves, która do rudej d’Espagnac mówiła:

– ...wydawała mi się nieszczęśliwą, twierdziła, że ma męża, którego nienawidzi – ale musiała mieć i ukochanego – gdyż widziałam ją nieraz w objęciach jakiegoś wysokiego draba, wodzącą miłość swą po gąszczach mego ogrodu.

Dziś doniosła mi, że jej mąż zmarł w nocy, i błagała, abym zakupiła jego „warsztat”, ponieważ zwija mieszkanie i z „ukochanym” wynosi się do Włoch.

– O kogo chodzi? – spytała pani El.

– O moją pokojową. O Luizę.

– A! o tę dziką clematisę, o której mówiłam, że jeśli intencja jest czynem, to ona dawno powinna wisieć, ponieważ niejedno morderstwo już popełniła.

– Tak. Mówiłaś, że zbrodnia „czai się u okien jej duszy”.

– Szyję daję, że ona struła swego małżonka, aby się z tym ukochanym połączyć.

– Po co? – rzekła cynicznie ruda d’Espagnac – w życiu erotycznym prawowity mąż jest ekiwokiem zera, inwentarz martwy. Po cóż by go zabijała, kiedy i tak najswobodniej święciła gody miłosne po jadalnych ogrodach małej Yves?

– Peuh! – machnął ręką d’Espagnac. – Każda rzecz zła ma ponoć odwet. Sądzę, że wiarołomstwo otrzymuje karzący cios właśnie przez takie uczynienie „zakazanego” owocu – owocem „dozwolonym” – dlatego z punktu widzenia etycznego nie mam nic nawet przeciwko zbrodni w danym wypadku.

– No i przeciw wiarołomstwu również – nie? – spytała ruda d’Espagnac, mrużąc oczy.

Tymczasem za małą Yves wkroczyliśmy nagle do jednego z ciemnych domów, w otwartą paszczę obłupanej z tynku bramy. W progu powitała nas posępna postać Luizy, tuląca się jawnie i brutalnie do jakiegoś wysokiego draba, zaledwie widocznego w pomroce.

Wskazała pokój i weszliśmy.

Dziwny pokój!

Przede wszystkim uderzył nas jego zapach, mieszanina pokostowych woni z tymi, które towarzyszą ptaszarniom.

I istotnie była to ptaszarnia. Pełno malutkich, brudnych, drewnianych klateczek na ścianie, a w nich ptaki. Pod ścianą rozciągał się stół, do którego przymocowane były warsztaciki, o delikatnych obciążkach, obciążniętych watą. Na każdym z nich dygotał ptak, z łebkiem ściśniętym obciążkami warsztatu i ze skrzydłami rozpostartymi, podmalowanymi cynobrem. Na wielką skalę widocznie przerabiano tu pospolite wróble na bajecznie upierzone unikaty.

Zrozumieliśmy teraz, o jakim „warsztacie” mówiła mała Yves.

Tymczasem Luiza zaczęła swemi szerokimi, brutalnymi ruchami odśrubowywać ptaki, jakby je teraz dopiero zauważyła, i, pokazując dzikie, ostre zęby w uśmiechu, wskazała na leżącego nieboszczyka:

– ...też artysta!” Bóg poprawia dzieła ludzkie, a on był więcej jak Bóg, bo poprawiał dzieła boskie, z wróbli robiąc astrylidy i kolibry. No i diabli go wzięli.

Przywarła do wysokiego i milczącego draba, jakby jego chciała przed diabłem obronić, i wkładała omdlałe ptaki do klatek, aby je czekającym na ulicy posłańcom oddać.

– Ciekawe? – rzekł d’Espagnac, rozglądając się z pewną grozą dokoła.

– Szkoda, że trochę tobie, Luizo, mąż skrzydeł nie podmalował...

Grymas pogardliwy rozchylił usta kobiety. Odśrubowała jeszcze jednego ptaka, który był już zdechł na warsztacie, i rzuciła go na ziemię.

– Nie mam skrzydeł – rzekła wreszcie – a gdybym je miała, nie „ten” byłby się na nich poznał. On był tak głupi, że nieraz najpiękniej pomalowane ptaki puszczał wolno, zamiast je sprzedać – ciesząc się, jakie ten ptak wrażenie zrobi między swojemi współplemieńcami. Nie wiedział kretyń, że maski tylko u... ludzi są podziwiane i tylko u ludzi mają cenę.

– Pewna jestem, że ona mu za to pomalowała skrzydła do odlotu – ale grynszpanem – mruknęła po angielsku ruda d’Espagnac. Posłańcy weszli i zabrali klatki – w których ptactwo cicho ćwierkało.

Luiza uścisnęła rękę małej Yves, nam skłoniła hardo głową.

– Co ty z temi ptakami robić będziesz? – rzekła po drodze pani El.

– Poukręca im łebki za parę dni i pozjada z bajeczną kombinacją sosów – roześmiała się ruda d’Espagnac.

– Puść je wolno – rzuciła półgłosem Zuluska i zaczął się targ o wolność ptaków między nią a małą Yves. Mała Yves opierała się, ale wreszcie popadła w jakąś zadumę, gdy d’Espagnac rzekł poważnie:

– Trzeba czasem uczynić jakąś ofiarę, aby przebłagać swoje larwy i egregory¹². Wiecie przecież, że fluidy Aclahayra¹³ są równie przekupne jak łaski katolickiego Boga...

Tedy, wróciwszy, puściła mała Yves farbowane ptaki, a w godzinę zaledwie później leżały prawie wszystkie – pozabijane – na ścieżkach jej ogrodu.

Współplemiénice ptaki nie uznały na nich fałszywych barw i wybiły je do nogi, po – zapewne – błyskawicznej debacie.

Ród ptasi nie jest rodem Człowieka, rodem Fałszerzy, Maquilleurów i Masek.

Opracowała *Anna Lewenstam*

¹² *Egregor*: duch ludzkiej zbiorowości, przede wszystkim narodu czy plemienia. W okultyzmie termin *egregor* oznacza „byt astralny, w istocie pusty, pozbawiony duszy, kradnący energię i duszę ludziom, którzy uczynili zeń przedmiot kultu”. Sam termin powstał przez kontaminację greckiego *egregoroi* (‘czujni’) z łacińskim *ag-gregare* (*ad-greg-*, ‘zbierać się razem’).

¹³ *Aclahayr* (*Aklahaj*): duch (geniusz) hazardu; także jeden z duchów godziny czwartej.